

Ale dziewczyna nie myślała ustępować, przeciwnie, hardo spojrzała na Potyrowskiego i podniesionym głosem zaczęła:

— O! o! Niby to pan z własnej kieszeni dawał, niby to ja nie wiem, że pan od bogatych państwa pieniądze dostaje, żeby je biednym rozdawać! To pański psi obowiązek dać, kiedy kto potrzebuje!

Potyrowski zmieszał się. Niedawno tak despotyczny, groźny, rozkazujący wobec pokornej, znękaney Antoniowej — teraz stracił pewność siebie. Usiłował jednakże nie okazać tego i, siłąc się na spokój, rzekł:

— Proszę cię, mów ciszej i grzeczniej! Co to znaczy? Na co ty sobie pozwalasz?! Jak przemawiasz do mnie? Czy nie wiesz, jak mnie masz tytułować?!

— Owa! Pan taki hrabia, jak i ja hrabina! Niech pan komu innemu gitarę kręci, bo ja nie frajerka! No, daje pan te pieniądze, czy nie?

Potyrowski nic już nie odpowiedział, chciał się jak najprędzej pozbyć hardej dziewczyny. Wyjął z kieszeni portmonetkę, wziął trzy korony i podał je Wikci.

Dziewczyna spojrzała na ofiarowaną jej kwotę i pogardliwie skrzywiła usta.

— Trzy korony?! Kpi pan ze mnie, czy co? Co ja za te trzy korony kupię?!

— Moja droga — odezwał się Potyrowski, odzyskując energię i stanowczość — rób sobie, co chcesz, więcej ci nie dam, bo nie mam! I radzę ci uspokoić się, bo się to może źle skończyć dla ciebie!

— Co mi tam też pan grozi — ja się dużo boję! Ja sobie poradzę! A pan, jak niema pieniędzy, to mógłby mi się wystarać o jaką dobrą służbę! Przecież ma pan znajomości w „wyższych domach“. Jabym z ochotą wzięła taką służbę, gdziebym dostała dobrą pensję i mogła sobie porządnie podjeść i żebym się nie potrzebowała narobić!

Potyrowski spojrzał bystro na Wikcie, nowa myśl błysnęła mu w głowie. Zrozumiał, że ta dziewczyna odtrącona mogła stać się niebezpiecznym wrogiem... Trzeba ją ulagodzić, zjednać dla siebie, przekupić!

— Ona jest sprytna — pomyślał — jeżeli umieszczę ją u Wolskiej, to może mi być bardzo przydatna...

To też przyoblekł twarz w powagę i rzekł sentencyonalnie:

— Więc chcesz iść do służby? To dobrze, to bardzo dobrze! Praca to szczytna rzecz! Módl się i pracuj! Pamiętaj, moja kochana. Ja ci dopomogę w wyszukaniu służby, ale umiesz ty gotować?

— Owa! Wielkie rzeczy gotować! Niby to ja raz służyłam do wszystkiego!

— Hm!... Dobrze... Słuchaj, dostaniesz bardzo dobrą służbę u jednej bogatej pani, ale będziesz musiała dobrze nadstawić uszu, co tam w domu będą mówili. Rozumiesz?

Małe oczka dziewczyny błysnęły przebiegle:

— To się wi, że rozumiem, niech się pan nie boi, bo ja nie z jednego pieca chleb jadłam... A kiedy dostanę tę służbę?

— Tego sam nie wiem jeszcze dokładnie... Ale myślę, że za kilka dni... Zawiadomę cię kartką...

— Ale niech pan pamięta o tem, bo ja się tak nie dam „wykiwać“ byle czem...

— No, kiedy ja ci mówię, to rzecz skończona... A teraz idź, bo nie mam czasu i muszę wyjść z domu...

— To do widzenia panu.

Wikcia, zadowolona z wyniku rozmowy, zabierała się do wyjścia, kiedy nagle we drzwiach zetknęła się z mężczyzną, który śmiało bez pukania wchodził do pokoju.

Gładko wygolona twarz przybysza napiętnowana była wyrazem jakiejś dziwnej, cynicznej bezczelności.

Wikcia przystanęła, klasnęła w ręce, a rumieniec zabarwił jej złotawą, przywiedłą cerę.

— Kogo ja widzę?! Pan Ignacy?! To i pan tutaj?! Śmierci bym się prędzej spodziewała! Jezu mój, jak ja się cieszę!

Tak radośnie przywitany pan Ignacy nie okazał bynajmniej specjalnej uciechy z tego spotkania. Machnął lekceważąco ręką i rzekł:

— Jakże się miewa panna Wikcia? Dobrze? No, to chwała Bogu! Trzymajże się panna i dalej ciepło.

Ale oczy dziewczyny rozbłysły niezdrowem jakimś światłem, wargi jej zadrżały febrycznie — zagroziła przybyłemu drogę, tak, że nie mógł postąpić kroku dalej i urywany głosem zaczęła:

— Panie Ignac, kiedy pan jest tutaj, to my się musimy jeszcze zobaczyć! To tak nie może być, żebyś pan całkiem o mnie zapomniał... Panie Ignac...

— Dobrze, dobrze — odparł flegmatycznie pan Ignac — czego się panna Wikcia denerwuje?... Możemy się zobaczyć... Ja tam nie od tego... Przyjdź panna dzisiaj wieczorem do piwiarni „U Bileho koniłka“ na Karlinie... Wiesz panna, gdzie to?...

— Wiem... a pan tam będzie?

— Jak mówię, ~~je~~ będę, to będę, a teraz zabieraj się panno stąd, bo my z panem hrabią — tu złożył głęboki ukłon w stronę Potyrowskiego — mamy do pogadania... No, ein zwei drei, zrób panna tak, żeby panny nie było...

Wikcia zniknęła za drzwiami, rzuciwszy jeszcze na pożegnanie rozkochane spojrzenie panu Ignacemu...

Tymczasem nowy gość przystanął na środku pokoju i jął się oglądać wokół bezceremonialnie, kręcąc w podziwie głową:

— Fiu! Fiu! Jak tu elegancko... Jaka kanapa wyścielana, co za lustro... Mieszkasz sobie, jak doprawdy jaki hrabia... Musi ci się doskonale powodzić... Niema to, jak dobre maniere i znajomości w arystokracji... Opięta sobie nasz Jasiek Potyra — przepraszam pan Alfred Jerzy Jan Potyra-Potyrowski — we wszystko, jak pączek w maśle, a ty człowieku tłucz biedę...

Wygłosiwszy te słowa, pan Ignac wyciągnął poufale rękę do Potyrowskiego i rzekł:

— Servus, stary!

— Siadaj! — odpowiedział lakonicznie Potyrowski, podsuwając gościowi swoją srebrną papierośnicę.

Nie zdawał się być ani zdziwiony ani obrażony poufałym zachowaniem się tego przybysza, który bynajmniej nie robił wytwornego wrażenia.

Ignac wziął papierosa, zapalił, zaciągnął się z rozkoszą wonnym dymem.

— Psia kość sobacza, co za papierosy — egipskie, czy co? Nie! Wiesz, Jasiek, ty masz szczęście! Gdybym ja miał jakie szkoły, umiał się w salonie obracać i po francusku parlować, tobym także taką „sztukę“ potrafił... Udałabym grafa nie gorzej od ciebie... Ale tak, to trzeba wciąż podawać pieczeń ciętą w jakiejś podłej kuchni, gdzie nawet na piwo porządnie nie dadzą... A teraz na tej ewakuacji to jeszcze gorzej... Powiadam ci, dyabło krucho koło mnie...

— Aha! Ty naturalnie chcesz coś odemnie wyciągnąć?...

— No, jakże nie poratowałbyś to starego kamrata?! Czyśmy to jeden interes razem ubili?... He, he! Wielu ja ci klientów przyprowadziłem!... Zarabiałeś ty na tem grubo, zarabiałeś coś i ja, ale zawsze ty więcej... A pomyśl sobie tylko, czyby to pięknie było, gdyby się tak eleganczy znajomi dowiedzieli, że pan Potyra-Potyrowski pośredniczył w rozmaitych wcale niehrabiowskich interesach. Ha! ha! ha!

Potyrowski nie okazał żadnego przestachu, słysząc te słowa, w których dzwiała groźba. Spokojnie dokończył śniadania, zapalił papierosa i zaczął:

— No, no, mój kochany, tylko mi nie groź! Wiesz, że nie jestem zbyt bojaźliwy, a niewygodnych mi ludzi umiem usuwać! Zresztą nie przyniosłoby ci to żadnej korzyści, przeciwnie, straciłbyś wygodne źródło dochodu... Gdybyś ty mógł co na tem zarobić, tobyś mnie już był dawno zdradził!

— Znamy się, znamy dobrze! — roześmiał się wcale niezmiuszony Ignac.

Potyrowski zagłębił się jeszcze wygodniej w miękim fotelu i mówił dalej:

— Właśnie!... A ponieważ znamy się tak dobrze, więc możemy zaniechać niepotrzebnych pogroźek... Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni, a teraz słuchaj, co ci powiem... Mogę tutaj zrobić, a właściwie pewien jestem, że zrobię wspaniały, kolosalny interes!...

— O! Interes!... A można na nim rzeczywiście zarobić?

— I grubo nawet! Znasz mnie nie od dzisiaj i wiesz, że do kiepskich interesów nigdy się nie biorę...

— Tylko czasem do ślizkich...

Potyrowski rzucił się niecierpliwie.

— Dajże spokój, skąd ci znowu przyszło bawić się w jakiegoś moralizatora, czy głos mojego sumienia... Ślizkie, czy nie ślizkie... „*Qui ne risque rien, n'a rien*“, powiada przysłowie francuskie... Nie wiesz, co to znaczy? Aha prawda, ty nie umiesz po francusku... No, mniejsza z tem... Tym razem zresztą chodzi o rzecz zupełnie innego rodzaju... Ja się chcę żenić, rozumiesz!

Ignac aż podskoczył na krześle ze zdumienia.

— Z kim?!

— Z jedną bogatą wdową, właścicielką pięknego majątku ziemskiego...

— Te niby coś tak... ze szlachty?

— Naturalnie! — potwierdził Potyrowski niedbale, pańskim tonem — To kobieta z bardzo dobrej rodziny, szeroko spokrewniona... Ma bardzo wybitne znajomości... Z inną przecież nie żeniłbym się...

Ignacowi zaimponowało widocznie swobodne, wielkopańskie, nacechowane pewnością siebie zachowanie się Potyrowskiego... Wpatrzył się w swego dawnego współnika z wyrazem podziwu, który graniczył z lekkiem.

Przez chwilę milczał, jak gdyby usiłował objąć wzrokiem horyzonty, rozciągane przez Potyrowskiego.

Wreszcie zapytał:

— A „hopy“ to ona ma, ta wdowa?

— Ma się rozumieć! I to grube! Ja już zasięgnąłem informacji... Duże kapitały w banku i śliczną wieś z hipoteką czystą jak iza.

Ignac kręcił głową, namyślając się nad czemś.

Wierzył on wprawdzie niezłomnie w spryt Potyrowskiego, jednakowoż praktyczny zmysł, osiągnięty długoletnim obracaniem się wśród mętów miejskich i podmiejskich, nasuwał mu pewne wątpliwości.

Jednakowoż świetny plan małżeński Potyrowskiego olśnił go i zaimponował mu do tego stopnia, że tylko z pewną nieśmiałością zapytał:

— Czy to już interes zrobiony?... Czy po oświadczeniach?

Potyrowski zmarszczył lekko brwi i zawahał się przez chwilę, co ma odpowiedzieć.

— Hm... To jest niby tak i niby nie... Formalnie się jeszcze nie oświadczałem, bo znajomość nasza zbyt krótka na to... Widzisz, do kobiety z wielkiego świata nie można przystępować tak obcesowo jak do „czarnej“ Mańki z pod „Murzynka“. Tutaj, uważasz, trzeba zachodzić ostrożnie, z daleka celować z ręcznie, żeby utrafić w samo „złote“ serce. Ha! ha! ha!

Potyrowski zaśmiał się, zadowolony ze swego dwuznacznika o „złotem“ sercu.

Ignac zawtórował mu, ale po chwili zauważył znowu:

— Ale ta pani musi mieć jakichś krewnych... Może oni się będą sprzeciwiać?...

— Eh! Co tam krewni!... Sympatyę mojej wdówki zdołałem sobie pozyskać, o tem wiem z pewnością, a to grunt! Reszta to głupstwo, z krewnymi poradzę sobie... Ona jest przecież pełnoletnia i niezależna od nikogo...

— Tylko, że...

— No cóż tam znowu?

— A jak to będzie, kiedy przyjdzie do ślubu i trzeba będzie pokazać metrykę, a tam stoi wyraźnie Jan Potyra. O Jerzym Alfredzie Janie hrabi Potyrowskim to niema ani słowa...

— To też właśnie dlatego chcę jak najprędzej doprowadzić to małżeństwo do skutku jeszcze tutaj w Pradze... Z jej krewnych niema tutaj nikogo, nikt więc mi nie będzie zaglądał w karty... A narzeczona przecież nie musi rozczytywać się w metryce narzeczonego... Namówię moją wdówkę na ślub cichy, potajemny, za indultem... Tutaj, na emigracji, to wszystko łatwiej... A jak będzie po ślubie, to klamka zapadła! Wtedy ja będę panem sytuacji!

Ignac z uznaniem kiwał głową. Był bardzo zadowolony z tego, co usłyszał. Rozumiał bowiem dobrze, że Potyrowski, jeżeli zostanie bogatym panem, to będzie chciał kupić milczenie człowieka, który wie o nim przecież dużo, bardzo dużo.

— Tak... tak... — przytakiwał z zapalem — To się da zrobić... Nie tak dawno jeszcze, jak czytałem w gazetach o jednym panu, który przez dwadzieścia lat udawał hrabiego... Ożenił się także z bogatą właścicielką ziemską, ludzie go szanowali, został jakimś prezesem... Tylko w końcu wydało się, że papiery były wszystkie sfalszowane! Wtedy zrobiła się wielka kłapa!

— Bo był głupi — zawołał Potyrowski — i sam się niepotrzebnie zdradził!... Zresztą on miał papiery podrobione, a ja nic fałszować nie będę, tylko moich dokumentów nikomu pokazywać nie potrzebuję...

— Pewnie, że tak lepiej! Ale wiesz, gdyby się to małżeństwo nie udało... Ja jestem pewny, że ci się uda, ale zawsze trzeba sobie wszystko napróżd rozważyć... W każdym razie to jest do zrobienia interes... Moznaby tę wieś puścić w ruch... Wiesz, ja mam tutaj jednego takiego „od naszych“, on mi mówił już, że jak Moskale ustąpią, to onby chętnie kupił jaki majątek ziemski i zapłaciłby dobrą prowizję...

Potyrowski wstrząsnął przecząco głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).